Tom VII. Nr. 3.

21. Lipca. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Leszczyński.

Jeszcze za czasów Augusta II, kiedy moskal namówił króla polskiego do wojny ze Szwedami, którato wojna tyle nieszczęść przyniosła dla Polski, że nawet król August musiał na czas pewien wyrzec się korony — już wówczas wspomniano w Dzwonku nieco o Stanisławie Leszczyńskim. Był to znakomity pan polski, wojewodował w Poznańskiem, i wiódł żywot bardzo zacny i sprawiedliwy. Kiedy Szwedzi naszli Polskę, aby się zemścić na Auguście, że ich królowi chciał razem z Moskalem krzywdę uczynić, wielu Polaków przystało do Szwedów, bo wielu nie lubiło Augusta II, raz dla tego iż był Niemcem, a potem także iż nie tak kochał Polskę i o nią się starał jak był powinien. Wiedział o tem szwedzki król Karol, i kiedy pobił Augusta a nawet wypędził go precz z Polski, tak iż wyrzekł się panowania, jął doradzać Polakom, aby sobie nowego obrali króla.

— Dobrzeby to było — odpowiedzieli oni — ale zkąd wziąć takiego króla na razie.

— Nacóż wam frasować się — rzecze Karol — a toć macie między sobą Stanisława Leszczyńskiego, który stworzony na króla. I zacniejszego monarchy pewnie nie wyszukacie, bo on naród potrafi uszczęśliwić jak żaden inny.

Podobała się tą uwaga Polakom, bo niebawem obrali Stanisława na króla, któremu sam August przysłał wnet list z powinszowaniem i życzeniem dobrego zdrowia a szczęśliwego panowania.

Tak zaczął panować król Stanisław. Byłto zaś pan bardzo zacny i sprawiedliwy. Nigdy w życiu krzywdy nikomu nie uczynił, a nawet nieprzyjaciołom swoim dobrze zawsze robił. Także mądry był bardzo, i na panowaniu rozumiał się dobrze, przeto byłby kraj polski uszczęśliwił, bo naród miłował go i słuchał. Jednakowoż inaczej się stało.

Skoro tylko pobili Moskale Karola Szwedzkiego, jął August II na nowo upominać się o koronę polską, i Moskal też z nim trzymał, i groził Polakom wojną, gdyby Augusta nazad nie wzięli. Król Stanisław nie chciał, aby z jego przyczyny miała Polska wojnę z Moskalami; przeto złożył dobrowolnie koronę, a zatem wyjechał na mieszkanie do kraju francuzkiego.

Miał ten Stanisław żonę i młodą córkę Maryę, z któremi razem zamieszkał we Francyi. Żył zaś tam jak całkiem zwyczajny człowiek, a nieraz nawet biedę przyszło mu cierpieć, o co nietrudno w obcym kraju obcemu człowiekowi. Frasował się tem nieraz srodze król Stanisław, i nieraz gorzko nad swojem nieszczęściem zadumał się.

Owoż razu jednego, kiedy tak zafrasowany siedzi i duma, zajeżdżają przed dom jego pyszne kolasy, a z nich wysiadają biskupi i xiążęta francuzcy. Zdziwił się Stanisław, coby to znaczyć miało, i wyszedł na ich powitanie.

— Na rozkaz króla naszego Ludwika przyjeżdżamy do was panie — rzekli Stanisławowi biskupi i xiążęta.

— I jakiżto ten rozkaz waszego króla — zapytał zdziwiony Stanisław.

— Oto pan nasz, król francuzki — odrzekli oni — postanowił ożenić się. Zaś jest przekonany, iż zacniejszej i bogobojniejszej nie znajdzie nad waszą córkę. Przeto rozkazał nam jechać do was panie, i prosić was, abyście mu ją dali za żonę.

Jeszcze bardziej zdumiał się król Stanisław nad tem, a potem szedł już do żony i córki, i opowiedział im całą sprawę. Kiedy zaś córka Marja przystała chętnie na to małżeństwo, nadjechały niebawem królewskie powozy, i zawiozły ją z rodzicami do króla. Wkrótce odbył się ślub, i tak została Marja Leszczyńska żoną najpotężniejszego króla, który jej rodziców bardzo poważał i wielką cześcią otaczał.

Owoż kiedy umarł w Polsce król August II, nie chcieli już Polacy innngo pana tylko Stanisława Leszczyńskiego. Jakoż uprosili go, że wrócił do Polski, i zaczął na nowo panować. Panował on wprawdzie krótko, ale tak zacnie i mądrze, że całkiem inaczej dziać się poczęło. Było naonczas w Polsce dużo swarów i nieprzyjaźni między wielkimi panami, którzy byle o co kłócili się i wojowali. Wszystko to było na wielkie utrapienie ojczyzny naszej. Bo jak tylko kłótnię taką ujrzeli nieprzyjaciele, to wnet imali się strony tego albo owego pana, i nibyto mu pomagali, a patrzyli tylko jakby coś urwać dla siebie. Toćto zdawna rzecz prawdziwa, iż kiedy w kraju kłótnie i swary, to wróg najprędzej mu zaszkodzić potrafi. Bywało tego dość w Polsce, i nieprzyjaciele dla własnej korzyści sami nieraz plotkami swarzyli między sobą możnych panów. Król Stanisław zabiegał temu, i wielką łaskawością a rozsądkiem jednał i godził panów, i swoje krzywdy chętnie im darowywał, i nikogo nie prześladował za wiarę. Ta łaskawość królewska ujmowała bardzo serca ludzkie, i łatwo było przewidzieć, że kiedy tak dalej potrwa, to cały naród stanie się posłuszny królowi, usłucha jego mądrych rozkazów, i podźwignie ojczyznę z upadku i nieszczęść.

Tego zaś w żaden sposób nie chcieli dopuścić nieprzyjaciele Polski, a najbardziej Moskal i Niemiec. Owoż zebrali oni wielkie wojska, i wpadli z niemi do Polski, i przymusili Polaków aby sobie wzięli innego króla, a na tego narzucili im znowu Niemca Augusta III, który był synem Augusta II. Król Stanisław nie miał tyle sił, aby się im mógł oprzeć, bo i

w kraju jeszcze nie całkiem porządek był przywrócony. Przeto musiał uciekać z Polski, i po raz drugi przybył do kraju francuzkiego.

Tam we Francji przyjął Stanisława zięć jego a król francuzki z wielkim szacunkiem, i dał mu na mieszkanie mały kraj osobny, który się zwie Lotaryngią a jest także francuzki. W tej Lotaryngji panował długo król Stanisław, a tak zacnie, sprawiedliwie i mądrze, że lud tameczny przezwał go *Dobroczynnym*, i dziś jeszcze wspomina go ze łzami wdzięczności.

Ale i w tym obcym kraju, zdala od Polski, nie zapomniał o niej Stanisław Leszczyński, który ojczyznę swoją kochał nad wszystko i przez całe życie dla niej chciał pracować. Dlatego założył on w Lotaryngji szkołę dla Polaków, gdzie ich uczono jak mądrze w kraju rządzić i ojczyznę ratować od zguby. Zjeżdżało się do tej szkoły wielu znacznych Polaków, a uboższych sprowadzał Leszczyński sam, i uczyć ich dawał i sam uczył, bowiem bardzo mądry i dobry był pan.

Owoż tym sposobem wyuczył Stanisław dobrze wielu Polaków, i pokazał im jak mądrze krajem rządzić, jak żyć cnotliwie, jak złe sprawy w ojczyźnie wytępić, aby ją dźwignąć z upadku i do dawnej siły a potęgi przyprowadzić. Ci Polacy zaś gdy wrócili do kraju, nauczali drugich wedle porady i nauki dobrego króla Stanisława Leszczyńskiego, którymto sposobem cały naród do coraz większej przychodził mądrości, i coraz szczerzej pracował nad swojem dobrem. Późniejszemi zaś czasy, po śmierci Augusta III, którego historja pożniej będzie opowiedziana, pokazało się jawnie, ile dobrego sprawiły nauki Stanisława Leszczyńskiego, bo cały naród poczynał już sobie jak najlepiej, i jak najgorliwiej pracował około dobra kraju.

Tyleto dobrego uczynił dla Polski król Stanisław, chociaż w niej nie mieszkał i mało panował, a całe prawie życie za granicą musiał przesiedzieć. Pisał on także bardzo mądre książki, w których najlepsze rady dawał Polakom; te xiążki czytano po całej Polsce, i wiele się z nich mądrego uczono. Zgoła cały żywot swój poświęcił Stanisław Leszczyński pracy około dobra ojczyzny.

Zaś aby pokazać jakto należy panować, rządził Stanisław w Lotaryngji tak zacnie i sprawiedliwie, że wszyscy monarchowie za wzór sobie jego brali. A kiedy umarł, to lament i płacz ogólny był w całej Lotaryngji, i lud cały odżałować się jego nie mógł, i wszyscy pamiętali zawsze na dobrego króla Stanisława, jakoż i dziś jeszcze o nim pamiętają, i ze łzami opowiadają każdemu o jego cnotach i łaskawości. Umarł zaś król Stanisław Leszczyński tamże w Lotaryngji roku pańskiego 1766, a więc temu blizko sto lat. I starenki bardzo był kiedy umarł, bo miał lat 89, a głowę jak śnieg bielutką. Naród w Lotaryngji po dziś dzień modli się za jego duszę, więc i nam to czynić wypada, bo dla Polski jeszcze więcej dobrego on zrobił, jakto nieraz poźniej opowiemy.

Śpiewka na żniwo.

Ułożył Wasylko z Kochawiny.

Hej krasne nasze żytko, pszeniczka złocista,
Hej piękne, ciepłe słonko, pogoda ognista,
Hej jasne sierpy nasze, ostre jakby noże,
Hej pójdziem niemi zbierać piękne dary Boże.
Żwawo chłopcy, żwawo dziewki
Imcie się roboty,
A piosenka wesolutka
Doda wam ochoty.

Bóg dobry, Bóg łaskawy, ma swój lud w opiece,
I dał mu więcej ziarnek, jak kropelek w rzece,
A wszystkie takie cudne, ważne i pełniutkie,
A kłosy jak ułany wysokie, równiutkie.
A więc żwawo, dalej żwawo,
Bierzcie się do żniwa,
A przy pracy na cześć Boga
Każdy pieśń zaśpiewa.

Hej Boże, wielki ojcze, na tej polskiej ziemi,
Chwalą Ciebie małe ptaszki śpiewy rozlicznemi,

Chwalą Ciebie za ziarneczka, jakie znajdą w polu,
Za drobne ziarneczka zboża i kąkolu.
Bo ptaszyna chociaż mała
Ale wdzięczna zato,
I wdzięcznie na Bożą chwałę
Śpiewa całe lato.

Jak drobna ptaszyna polska, tak lud polski cały,
Zawsze nosi w swoim sercu pamięć Boskiej chwały,
I dla tej to boskiej chwały żyć chce i pracować,
A co zbierze najlepszego, Bogu ofiarować.
I tak z dawna już bywało
W naszym polskim kraju,
Że lud Stwórcę równo chwali
W głodzie, w urodzaju.

Więc dziś, kiedyś nam o Panie dał tak piękne żniwo,
Bierzem się do pracy żwawo, żwawo nie leniwo,
A do Ciebie prośba szczera z ust i serca płynie,
Coś stworzył daj zebrać Panie, niech marnie nie zginie.
O wysłuchaj modłów naszych
Wielki Panie nieba,
Pobłogosław Twój lud wierny
Nie żałuj mu chleba.

Nie przeklinaj!

Czyli:

Jaka kara boża nawiedziła Paraszkę z Korczyna za przekleństwo.

Opowiedział sierota z Manajowa.

Tuż u podnóża naszych gór Karpat, kędy rzeka Stryj płynie i w niedalekiej odstoji łączy się z bystrym Oporem, leży nad brzegami tegoż Stryja, co to przepłynąwszy dużo kraju naszego wpada do Dniestru a z nim do Czarnego morza, piękna i wielka górska wieś *Korczyn.* Od zachodu przypiera Korczyn do Stryja, na północ otaczają go urodzajne pola, a od wschodu i południa obejmują Korczyn zielonym lasem porosłe góry, mię-

dzy któremi najwyższa, sięgająca wysoko w chmury, nazywa się „*Paraszka*“.

Otóż kiedym rozpytywał ludzi Korczyńskich o tejże górze, bardzo a bardzo stara kobieta, pani Dominikowa, żona szlachcica tamecznego, opowiedziała mi całą historją tej góry, a jako to bardzo czestna kobieta mi opowiadała, tak ja wam tu wiernie to samo powtórzę. Spisałem tę powieść na to, abyście słuchając wzięli sobie dobrze do pamięci i serca, i opowiadając ją sąsiadom i dzieciom waszym przekonywali ludzi, że przeklinanie wielkim jest grzechem, w obec Boga nawyczka szkaradna, a od djabła spadła na ludzi, i że Bóg często bardzo karze za przekleństwo, bo się takowe spełnia na tych, którzy przeklinają.

Posłuchajcież teraz powieści pani Dominikowej.

I.

Gdy się z Korczyna jedzie drogą do Kruszelnicy, która wieś leży ćwierć mili od Korczyna na zachód, to trzeba przejeżdżać przez niewielką rzeczułkę co wypływa ze szczytu góry „Paraszki“ i dostała imie „Parasi“. Jakby na pamiątkę wieczną ta mała rzeczułka „Parasia“ wpadająca do Stryja rozdziela część Korczyna na dwie części, bo po jednej stronie tej rzeczki mieszkają chłopi zwani chodaczkowa szlachta, a po drugiej stronie rzeczki od wschodu zwykli kmiecie.

Dawnych lat, jeszcze kiedy nam panowali nasi najmiłościwsi królowie, którym za dobre panowanie niech Bóg miłosierny w niebie raczy udzielić wiecznego szczęścia, jako użycza po śmierci wszystkim uczciwym ludziom. Za owychto czasów każdy prosty kmieć co wiernie naród swój kochał, a kiedy napadli nasze ziemie nieprzyjaciele, sam z własnej woli na wojaczkę poszedł i tam chwacko się spisał, to wówczas król udzielał takiemu prostemu chłopu pochwałę i za jego trudy na wojnie większy kawał pola i lasu, a zarazem dekret na wojaka, co dawnych lat nazywało się szlachcicem. Bo za dawnych czasów tylko szlachcic musiał w wojsku służyć, a kmieć był wolny od wojaczki i miał zostawiony czas do uprawy roli i do hodowania bydła. Toż kiedy szlachta wojowała, kmieć uprawiał pola, aby było w kraju co jeść i aby drożyzny nie było.

Otóż zdarzyło się raz, że jakiś książe zagraniczny nazbierawszy różnej hałastry z Niemców, Węgrów i Cyganów napadł na ziemie ruskie, i chciał rozbojem zapanować Rusinom. Wówczas jedna część wojska naszego biła się z tem książątkiem koło Halicza, a druga część zaszła od południa rabusiom u sinych wód, gdzie jest do dziś dnia wieś Synowódzko, i nuż strzelać na rabusiów. Wówczas też korczyńscy kmiecie silni jak niedźwiedzie, zebrali się w kupę, zabrali z sobą kostury tęgie, cepy, kosy, siekiery i co kto miał a napadłszy niepotrzebnych gości z nienacka z tyłu, tak potężnie kropili ich, podczas gdy wojsko królewskie z przodu strzelało, że nabiwszy co nie miara, resztę zabrali w niewolę. Książątko cudze uciekło gdzieś na cztery wiatry, a nasi na podziękowanie Bogu za otrzymane zwycięztwo wystawili później na miejscu bójki piękny klasztor Bazyliański, z którego dziś i śladu nie ma, bo tylko krzyż żelazny został.

W całej tej wyprawie korczyńskich chłopów przewodził bogaty młynarz Piotrowski Wasyl z ogromnym toporem w ręku, którym gdy machnął pomiędzy łby rabusiów, to zawsze prawie pięciu ubił, a gdy już na jednego napadł, to pewnie na dwoje rozpłatał. Tak gdy machnął w górę toporem swoim i krzyknął:

— Chłopcy nuże żwawo wal!

To ci się tyle nasypało od gromady korczyńskiej razów na łby rabusiów, jakby deszcz ulewny lunął, a co który palnął, to pewnie ubił.

Za takie sławetne czyny, kiedy się król dowiedział od swego hetmana, jako korczyńscy chłopi nabili rabusiów, to udzielił Piotrowskiemu Wasylowi i wszystkim korczyńskim ludziom, którzy byli na wyprawie, dekret na szlachectwo, i otóż od owego czasu nastała szlachta w Korczynie. Szlachcie tej prócz tego wyznaczył król wiele pola i lasu, i po dziś dzień wiele jest z tej szlachty bogatych ludzi. Sam Piotrowski, jako najtęższy człowiek otrzymał najwięcej ziemi, a że miał wielu synów, to się też rozdzielili majątkiem ojca, a najstarszemu Dominikowi Piotrowskiemu dostał się młyn ojcowski i sławny topor.

Ale też korczyńska szlachta zapomniała niebawem na swoje pochodzenie, i że wszyscy ludzie na bożym świecie są sobie

równi; djabeł naplótł tam w uszy szlacheckie jakieś dziwa o koronach i herbach, plótł także że co prosty kmieć to nie pan szlachcic, bo kiedy się narodowi podoba, to po śmierci króla może lada jakiego szlachcica królem obrać i t. d. A tymczasem dumna szlachta zapomniała, że pierwszy nasz król Piast był sobie prostym kmieciem, i że lada jaki kmieć za sławetne czyny może zostać szlachcicem, chociażby i w sieraku i chodakach chodził. I korczyńska szlachta zgłupiała na namowy djabła, i odłączyła się od braci kmieci a owa mała ›Parasia‹ płynąca z góry ›Paraszki‹ stanowi granicę korczyńskich kmieci od korczyńskiej szlachty.

Długo jednak żyli sobie szlachta i kmiecie w Korczynie w zgodzie i szczęściu, i nic ich nie rozdzielało. Aż oto nastał z powodu wielkiego napadu Turków i Tatarów także Niemców na nasze ziemie wielki głód i nędza po wielu a wielu wsiach i miastach, bo to Turek, to Niemiec, Szwed palił i niszczył wszelki dobytek ludzki, zabierał bydło, i młodych ludzi w dalekie kraje za sobą ciągnąc jak psów na łykach, a tylko starzy i dziecięta zostali na rumowiskach i zgliszczach swoich siedzib, i płacząc i zawodząc chodzili po lasach i tylko zielem, liściami i korzonkami się żywili. W polu było pusto a nie było rąk do pracy, a gdy nie stało korzonków i przyszła zima, mnóstwo ludzi ginęło z głodu i zimna. Synowie szlachty korczyńskiej wojowali w dalekiej Ukrainie przeciw Turkom, a chłopi i stara szlachta pilnowali zagród swoich, hodowali wiele bydła, owiec i kóz, a że w Korczynie niebrak na dobrem polu, toż i zboża było dosyć, a że rzeka blizko, toż i ryb było. Owóż wybrali między sobą korczyńscy kmiecie i szlachta zdatnych ludzi, i wysłali syna Wasylowego Dominika Piotrowskiego zwanego Topór i Hnata Podhorodeckiego i Pawła syna kowalowego na doliny spustoszone z bydłem, ze zbożem, owcami, kozami, rybami, i z bundzami, z płótnem i suknem między nieszczęśliwych ludzi do rozdania. A że były drogi popsute i wielka zima, toż długo jeździli wysłani ludzie z pomocą dla napadniętych od nieprzyjaciół braci na dolinach, kiedy Korczyn ocalał tą razą za łaską Boga.

Tymczasem w Korczynie chodziły dzień i noc straże po wsi; sam pan Korczyński był daleko na wyprawie z Czarneckim wojewodą za morzem; więc wójt wsi Fedio Ostapow prosty kmieć patrzył porządku we wsi, baby i dziady modliły się w cerkwi, ksiądz codzień mszę trzymał, a młodzież co nie byli na warcie, pilnowali gospodarstwa.

Dominik Piotrowski miał swój młyn na końcu wsi niedaleko pod górą Paraszki. Koło młyna była porządna chata z wielką bramą do dziedzińca, stały brogi zboża i słomy, było wiele owiec i bydła, i panował wszędzie porządek oznaczający zamożnego gospodarza; a do tego wszystkiego cały dzień i noc mielił i mielił młyn pana Dominika i przynosił grosz do kieszeni. Toż bitych talarów srebrnych było w skrzyni p. Dominika pełna torba skórzanna dwugarcowa, a na szyi samej pani Dominikowej i na pięknej czarnobrewej Dońce, jego młodej, hożej a zalotnej Parasi, było co nie miara złotych medalików z Matką Bożą i Jezusem Chrystusem i św. Janem i św. Mikołajem. A kiedy się Parasia wystroiła do cerkwi to tyle miała wstążek czerwonych, białych i niebieskich na sobie, taką piękną spódniczkę i kubrak sukienny niebieski z świecącemi guzikami, a pani Dominikowa takie piękne miała futerko lisie z sukiennym wierzchem srebrną taśmą obszytym, że gdyby nie pański dozorca stary a łysy, z wielkim brzuchem jak beczka, z laską okutą w mosiądz w żółtych spodniach i w niebieskiej kapocie opasanej czerwonym pasem, i z czapką rogatą baranią siwą, to żona pana Dominika i Parasia za księdzem miałyby w cerkwi pierwsze miejsce.

Po drugiej stronie rzeczki naprzeciw chałupy wielkiej pana Dominika była uboga, mała ale chędoga chałupka wdowy po Wasylu Traczu prostym kmieciu, który, gdy zaspał podpity jednej nocy na tartaku pańskim, piłą na wpół przecięty został. Odtąd biedna wdowa biedowała jak mogła na małem gospodarstwie, i tuliła przy sobie jedynaka syna Mateuszka, pilnowała, by wyrósł na porządnego i uczciwego gospodarza, co to nie traci darmo czasu w karczmie i na hulankach, ale co niedzieli pilnuje służby Bożej w cerkwi i nieszpor, a nie leniuje się do pracy w polu i w lesie czy to dla siebie czy dla dworu. Ma-

teuszek miał lat dopiero dwadzieścia, ale był już smukłym, a jak to mówią, jak sosna dorosłym chłopcem, a zwinnym, i żywym i sposobnym do wszystkiego. Nie było piękniejszego chłopca nad Mateuszka w całej wsi i okolicy. Oczy jego czarne błyszczały jak ogień; włos czarny jak węgiel, długi a kędzierzawy, spadający aż na ramiona; twarz smagła nie tłusta i nie chuda z zdrowym rumieńcem, zgoła chłopiec jak malowany, a silny bodaj za dwóch dobrych parobków. Ale uważali ludzie, że ile razy zaszedł do młyna pana Dominika, a przypadkiem zdybał się tam z piękną Parasią, to jakoś inaczej wyglądała twarz Mateuszka, żywiej błyszczały jego oczy, bardziej rumieniła się twarz; a gdy przyszło porzucać młyn pana Dominika z garścią mielonej mąki owsianej, za której zmielenie nigdy grosza nie przyjął pan Dominik od Mateuszka, bo miałby to sobie na sumieniu od biednej sieroty brać zapłatę, a pani Dominikowa byłaby dobrze przytarła uszu swemu mężowi, jakby od Mateuszka, którego ona bardzo nawiedzała był kiedy przyjął zapłatę — to jakoś gdy Mateuszek wracał do domu i przechodził przez wąską kładkę, szedł zwykle zwolna, spojrzał kilka razy na bogatą chatę pana Dominika a na nędzną chatę swoją, i wówczas ścisnęło mu się serce, łzy naszły do ócz, i przyszła na myśl wesoła, rozkoszna i wiecznie uśmiechnięta Parasia. Wówczas stawał się Mateuszek zadumanym i smutnym, ale tłumił ten smutek w sobie, i chociaż go matka pytała, gdy raz przyszedł do dom:

— Czego ty smutny synu? To w takim razie coś zapierało oddech w piersi Mateuszka, mocno potarł czoło i zacisnął zęby, i niby z jękiem odpowiadał matce:

— At nic mamo moja droga, tak to coś czepi się człowieka i sam nie wie co! Pójdę na połoniny, zobaczyć co się dzieje na węglarkach, a wezmę z sobą fujarkę, zagram tam mołojcom od serca, ta się może rozweselę. A przecież to wiecie mamo moja droga, że nikt tak dobrze nie zagra na fujarce jak wasz syn; wprawdzie w karczmie grają Szyndor i ślepy Kuba obertasa na skrzypcach i basetli, alić ja wolę moją fujarkę, niż ich smykowanie w karczmie!

— Niech cię Bóg błogosławi za to mój Mateuszku, i niech ci da, abyś stracił ten smutek; ale dość już ja smutków miałam mój synu i radabym nim kości moje stare złożą do ziemi, widzieć cię szczęśliwym, ta choć umierać spokojnie. A ty synu coś mi źle patrzysz, już od jakiegoś czasu zwracasz często oczy na zalotnicę bogatą Paraszkę, co to się tylko śmieje, że ci głowę zawróciła; a ja chociaż z duszy bym rada twego szczęścia to nic nie będzie z tego, bo to bogaczka a ty biedak, taj tylko! Ona szlachecka a ty prosty kmieć.

I rozpłakała się wówczas biedna matczysko, i przycisnąwszy mocno syna do piersi, długo go puścić nie chciała.

Aż nareszcie wyrwał się Mateuszek z objęć matki, i wybiegł z chaty pędem; a matka usłyszała jeszcze głośno wyrzekającego Mateuszka na dziedzińcu:

— Tak mówicie matko! Ja kocham Parasię, to nie może być, tak nie może! Bo ona szlachcianka a ja chłop!

I rychło skoczył Mateuszek na płot małego ogrodu swego, i wdrapał się na skaliste urwisko tuż za ogrodem, by ztamtąd pójść niewiedzieć czy do węglarki, czy może gdzieindziej. A kiedy szedł Mateuszek szybko po skale, to mu wiatr rozwiał długie włosy i rwał z ramion zarzuconą ciemną gunię góralską. A kiedy tak szedł, to z jednej chatki wyglądała oknem zapłakana a milcząca matka, patrząc na syna litośnie; a z drugiej większej chaty pana Dominika wybiegła spiesznie Parasia wystrojona do swej ciotecznej siostry. Ta poczęła wołać zobaczywszy Mateuszka:

— Mateuszku, gdzie to biegniesz? Mateuszku! A wracaj, tać to weselisko Maryni! Mateuszku wracaj, ta się popatrz czy mi nieślicznie w nowym kaftanie?! Mateuszku!!

Ale wiatr dął silnie w przeciwną stronę, a Mateuszek nie słyszał wołania Parasi, a śnieg zmiecony z dachu chałupy Mateuszkowej, zasypał oczy Parasi. Parasia zezłoszczona, mruknęła z cicha:

— To leć do diabła, kiedy nie słyszysz! I wróciła do izby, a kiedy druhy przyszli z muzyką, to druszka wesoło ruszyła z innymi mołojcami szlacheckimi do cerkwi. A Mateuszek biegł ciągle, i widać go już nie było.

Działo się to na kilka tygodni przed wyjazdem pana Dominika Piotrowskiego ojca Parasi, Hnata Podhorodeckiego Pawła syna kowalowego, z różnymi dary dla poszkodowanych na dolinach.

A co się zaś dalej stało, napiszemy wam w następnym numerze.

Sułkowice i Sułkowiczanie.

Pisanie pewnego Sułkowiczana do Grzesia z Mogiły.

Pisaliście już w Dzwonku, miły Grzegorzu, o Swiętniczanach; więc zdało mi się rzeczą sposobną aby nieco donieść o Sułkowicach. Wprawdzie to mniej znaczne miejsce od Swiątnik, ale że też ma swoje szczególności, a potem iż Sułkowice i Świątniki to prawie w sąsiedztwie, więc myślę sobie, warto aby się ludzie i o Sułkowicach nieco dowiedzieli. Zaś wedle mego rozumienia, każde miasteczko i każda wieś na tej naszej miłej ziemi ma swoje ciekawości, a każdy człek polski, zda mi się radby poznać choćby najmniejszy kącik tej miłej ziemi. Owoż dla tego spodziewam się, że nie wzgardzicie mojem pisaniem, a nawet i o innych ciekawych miejscach opiszecie kiedyś pięknie w Dzwonku.

Owoż Sułkowice leżą ze dwie mile na południe od Świątnik. Całe pięknie wygląda ono miejsce. Widzisz tam małą dolinę w okół obrosłą pagórkami, a środkiem niewielka rzeczułka. Po stronie tej rzeczułki mnóstwo domków małych, a dalej to już kuźnia przy kuźni, zkąd cały Boży dzień dolatuje uszu setne pukanie. Bo też jak wielkie Sułkowice, tak wielka też tam kowalka. Rzadko znaleść gospodarza, któryby się czem innem parał. Co dojrzysz człeka, to oczerniony, z fartuchem, z obcęgami albo młotem w ręku, więc jużci kowal. Zaś innej roboty prawie nie mają jak gwoździe. Ten robi bretnale, ów dachowe, inny duże mostowe, drugi zaś zamkowe, i tak przeróżne, grube i cienkie, długie i krótkie, z okrągłemi głowami, z podwójnemi albo zawijane, słowem jakie tylko wymyślić potrafisz. To też hen daleko i szeroko po kraju rozwożą sułkowskie gożdzie; nie mało ich znajduje się na krakowskich da-

chach, na pańskich pałacach i dworach, i nie na jednym dachu kościelnym gonty sułkowskiemi gwoździami przybite. Zaś co ich do drogi żelaznej, do mostów i indziej spotrzebują, tegobyś nie zbiegł nigdy w świecie.

Nad temi to goździami pracuje tu moc ludu, bo cała połowa osady, a będzie tego z półtora tysiąca ludzi, jedynie z goździ żyje. Kuźni gdzie same tylko goździe wyrabiają, jest przeszło ośmdziesiąt. Znajdziesz tu wprawdzie kowali do inszej roboty, do kucia koni, pługów, bron, do ostrzenia sierpów i innych rzeczy gospodarskich, ale tego nie wiele. Zawsze tu goździe najpierwsze, tak jak w Swiętnikach kłódki.

Jest zaś tu także i ślusarz, trzech stolarzy, piekarz, kołodzieje, cieśle, tokarz a nawet i pan malarz, co piękne obrazy maluje. Jest kilka sklepów i domki cale porządne; co zaś najbardziej zajmuje człeka, to piękny kościoł pobity nowym dachem, z zegarem na wieży. Kiedy wejdziesz do środka, to aż miło tak wszędzie czysto, ołtarze ozdobne, porządek wielki. Zaraz obok jest kapliczka przymurowana z kopułą, a w niej ołtarz świętego Stanisława. I nie dziwota tej piękności, bo lud u nas bardzo pobożny, a w niedzielę i święto nie można się nigdy pomieścić w kościele, taki nacisk i tłum ogromny.

Niedaleko kościoła jest plebania piękna z ogrodem, dalej wikarya także z kwiatkowym ogródkiem, a tuż obok szkółka trywialna. Po kościele jest szkółka najważniejszy budynek, boć to w niej człowiek jak w drugim kościele uczy się cnót i moralności, a także rozumu, który jedynie szczęście w życiu przynosić potrafi. Życzymy serdecznie aby i Świętniczanie mieli tak jak my swoją szkółkę, która jest koniecznie potrzebna, aby ludzie mogli się wychowywać na chwałę Boga a na pożytek krajowi.

Otóż tyle mego opisania o Sułkowicach. Wybaczcie miły Grzegorzu, jeśli tam czego nie dostawa, bo ja człek innej pracy a nie do pióra i atramentu. Daj Boże aby się moje pisanie na co zdało, a najbardziej aby innym dało chęć, iżby o ważniejszych miastkach i wsiach piękne historje do Dzwonka spisywali. Zaś jak wam powiedziałem na początku, miarkuję po sobie, iż takie wiadomości podobałyby się ludziom. A na tem zostawiam was panu Bogu.

RÓŻNOŚCI.

Mądra odpowiedź Iwana Czerczynuchy. Iwan Czerczynucha był najbogatszy gazda z całej wsi. Budynki u niego jak na pańskim folwarku; stodoła zawsze w jesieni pełniuteńka że i palca nie było gdzie włożyć a obrogi tak wysoko napchane, że je widać było z poza topól, które rosły w około gumna. Zaś konie, bydło, bezrogi i drób takie tłuste i tuczne, jak pirogi na Boże narodzenie. Słowem tylko oblizywać się przychodziło patrząc na te dostatki. Ale bo też sam pan Iwan był człek pracowity a zapobiegliwy, i gazdował całą gębą a żadnej pracy się nie lenił. Był także człek pobożny, uczciwy i miłosierny, więc mu błogosławił pan Jezus a wszystko szło jak z płatka.

Lecz na tym marnym świecie nie obejdzie się nigdy bez nieszczęścia i kłopotu, a najzacniejszy nawet człowiek zalizie w ciężki grzech po uszy. Tak się stało z Iwanem Czerczynuchą. Ni ztąd ni z owąd przypytał się on do kieliszka, i kiedy dawniej był zawsze człek trzeźwy aż miło, teraz w jednym tygodniu rozpił się na piękne. Dziw to był wielki dla całej wsi, i żałowali ludzie Iwana, i wyrzekali to na czarownicę Martę, która urok na niego miała rzucić, to na samego djabła, co to go miał zbalamucić. A kobiecisko Iwanowa to już mało oczy nie wypłakała nad tem nieszczęściem, i gęby mało nie wygadała perswadując mężowi i pokazując, na jaki to grzech i hańbę on przychodzi. Ale Iwan ani gadać sobie nie dał, i pierwszy raz w życiu miotłą zamierzył się na żonę, i naklął aż włosy na głowie stawały, a potem czapkę zacisnął na ucha i dalej do karczmy.

A w karczmie rudy Srul, arędarz aż podskakiwał z radości jak zobaczył idącego Iwana, i oczy zaświeciły mu się jak u wilka, kiedy zobaczy owcę. Bo teżto nielada gratka dla Srula taki gość jak Iwan. Już on sobie od tygodnia liczył między zębami, jak to najpierw zboże Iwanowe przyjdzie do niego za wódkę, a dalej drób, wieprzaki i jałówki, i woły i konie, a nawet co jest tylko w komorze, i Bóg wie o czem tam jeszcze myślał sobie rudy Srul. Więc jak tylko przyszedł Iwan, to skakał koło niego aż mu patynki zlatywały, i co najlepszej wódki dolewał Iwanowi, a jak ten sobie podpił, więc dalej rachunek spisywać, w którym liczył przynajmniej cztery razy tyle jak wypił Iwan. Jakoż niemało wyciągnął on grosza od Iwana, a nim cztery tygodnie minęło, zabierał Srul po raz drugi z gumna Iwanowego kopę calusienką ozimej pszenicy, i prowadził drugiego cielaka.

Na ten widok to już biednej Jagnie, żonie Iwanowej, mało serce z żałości nie pękło. Napłakawszy się do sytu wyjęła ona ze skrzynki ostatnie trzy cwancygiery z Matką Boską, owinęła się w chusty niedzielne i poszła do księdza proboszcza. Tam z wielkim płaczem prosiła dobrodzieja o mszę na intencję nawrócenia Iwana, i opowiedziała wiernie całe swoje nieszczęście od początku do końca. Xiądz proboszcz pokiwał głową, pocieszył kobiecinę, pieniądze kazał jej nazad schować do skrzynki, obiecał mszę odprawić, a że to była sobota, kazał jutro przyjść jej z Iwanem do kościoła, a po kościele do zakrystji.

Kiedy Jagna wróciła do domu, wybierał się właśnie Iwan do karczmy. Owoż powie mu kobieta:

— Słuchaj Iwanie, mówił mi xiądz proboszcz, abyś jutro przyszedł na mszę, bo już cię ze cztery niedziel nie widział na służbie bożej. A po mszy kazał abyś czekał na niego w zakrystji, bo ma jakiś interes do ciebie.

Iwan aż gębę otworzył i oczy wytrzeszczył na tę mowę, a potem dzi-

wnie mu się jakoś zrobiło na sercu, i wstyd go wielki opanował. Skręcił się więc po izbie, mruknął coś pod nosem i zamiast do karczmy wyszedł łagodzić tok w stodole na młockę.

W niedzielę poszli oboje gospodarstwo na mszę. Iwan aż się pocił ze wstydu i nikomu w oczy spojrzeć nie śmiał, a stanął sobie w najciemniejszym kąciku i wzdychał ciężko przez całą mszę. Zaś kiedy począł xiądz prawić kazanie, gdzie dowodził jakato hańba, wstyd i obraza boska pijaństwo, jakie nieszczęście dla człowieka, który rujnuje się do ostatniego grosza a potem idzie na żebry albo na złodziejstwo, to Iwanowi z oczu ciurkiem łzy się polały i szlochał jak małe dziecko. Zaś po mszy w zakrystji, kiedy mu xiądz jeszcze na rozum wszystko opowiedział, to Iwan chwycił go za kolana i ze łzami obiecywał poprawę, a nawet jeszcze tego samego dnia wyprzysiągł się na wieki od wódki i pijaństwa.

Od tego dnia stał się Iwan po dawnemu trzeźwym, uczciwym i pobożnym gazdą, jął się na nowo do pracy, a do karczmy i kijem nie nagoniłby go. Wszyscy się z tego okrótnie cieszyli i po dawnemu szanowali Iwana, zaś kobiecisko jego z radości rady dać sobie nie mogła. Tylko jeden człowiek bardzo się tem martwił, a to rudy Srul arędarz, który z wielką złością dreptał po pustej karczmie, i za pejsy się chwytał, a oczami łypał tak strasznie jak wilk co już ze cztery niedziele owcy nie widział. Czekał Srul cały tydzień, a potem już wziął do kieszeni kieliszek i flaszkę wódki z karteczką, lisią czapkę zasadził na jarmurkę, i hejże w gościnę do Iwana.

Byłoto jakoś że Jagna wyszła za pewną sprawą na wieś, a Iwan sam poprawiał coś na podwórku ze siekierą koło woza. W tym przybiega Srul i dalejże poczyna dreptać koło Iwana a pytlować językiem:

— A co to wam panie Iwanie, czyście słabi czy co? A to wy u mnie tak dawno nie *buwali*, a ja myślałem że wy *zachorujecie*.

— Dzięki Bogu zdrów jestem — odrzekł Iwan — a do was to już nie mam po co chodzić, bo przysiągłem nie pić wódki.

— *Aj waj* co wy też zrobili panie Iwanie. A kto was namówił do *takiego głupstw?*

— Ba! Kto tam wie, czy to głupstwo — odpowie Iwan — przecież nasz xiądz dobrodziej całkiem inaczej mówi, a powiem wam Srulu po prawdzie, że mi się jego mowa mądrzejszą wydaje od waszej.

— Oj panie Iwanie — zacznie dogadywać Srul — taki mądry człek jak wy dał się tak obałamucić. Alboż to wódka co innego jak każdy dar Boży? A kiedy ją pan Bóg *stworzil*, to nie na to aby się ludzie od niej wyprzysięgali. *Waszych xiondzów* to tak naumyślnie gadają, aby was zbałamucić.

— Ano, może i prawdę mówicie panie Srulu — odrzekł Iwan i zaśmiał się pod nosem jakoś złośliwie — chodźcie więc do komory ta napijcie się do mnie.

Ucieszył się okrutnie Srul, i kiedy przyszli do komory, nalał kieliszek i wypił do Iwana.

— A teraz zakąście panie Srulu — rzekł Iwan podając mu kawał słoniny.

Aj waj mir krzyknął Srul i odskoczył — czy wy *oszaliwaliście* Iwanie, czy co? A przecież wiecie że mnie nie wolno jeść *słoninów*, i żeby mnie rabin wyklął za to.

— Oj panie Srulu — powie mu z śmiechem Iwan — taki mądry człek jak wy dał się tak obałamucić. Alboż to świniny nie stworzył pan Bóg na to, aby ją ludzie jedli. A wasz rabin tylko bałamuci, i wy go słuchacie.

Zobaczył Srul, że zła sprawa, więc za flaszkę i w nogi. A Iwan święcie dotrzymał przysięgi, i jest znowu najporządniejszym gospodarzem w całej wsi.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.